Nr. 193. We Lwowie Poniedziałek dnia 13 Lipca 1896. Rok XXIX.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego", Plac Marjacki liczba 6 i 7.
Przedpłata wynosi we Lwowie rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł. — kwartalnie 4 zł. 50 ct. — miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 centów miesięcznie.
Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięcznie 2 zł.
Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 40 fr. gr. — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.

Numer kosztuje 6 centów.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.
Telefon Redakcji 171.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie niewyłączając niedziel i świąt o godzinie 8 rano.

Przedpłatę i ogłoszenia przyjmuje we Lwowie jedynie i wyłącznie:
Biuro Administracji „Dziennika Polskiego", Plac Marjacki l. 6 i 7 w domu pana Kisielki.
We Wiedniu: pp. Haasenstein et Vogler, (Otto Maas), M. Dukes, H. Schalek, A. Oppelik, Rudolf Mosse i J. Danneberg; w Paryżu: C. Adam 22 rue de Varenne.
Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 10 centów od jednego wiersza drobnym drukiem (petit.)
Doniesienia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po kronice za jeden wiersz 50 ct.
Prywatne korespondencje 12, nekrologja 20 ct. od wiersza. Drobne ogłoszenia 1½ centa od wyrazu. Pomieszkania i sklepy o 1 ct. od wyrazu.
Reklamy w rubryce Nadesłane 30 ct. od wiersza.

Z prasy słowiańskiej.

Lwów 12. lipca.

(*D. Kr.*) Główny organ Chorwatów, należących do stronnictwa prawa, wychodząca w Zagrzebiu codziennie *Hrvatska Domovina*, umieściła w kilku felietonach pod nagłówkiem *Danaszni položej Poljaka* (Dzisiejsze położenie Polaków) studjum, w którem pisząc o Polakach pod zaborem rosyjskim, wytyka rządowi rosyjskiemu wszystkie gwałty, bezprawia i nadużycia popełnione na Polakach.

Hrvatska Domovina stwierdza fakt, że służące za wyłączne prasie słowiańskiej o Polakach źródło informacji, czeskie *Narodni Listy* rozmyślnie i systematycznie ucisk narodowości polskiej pomijają milczeniem.

Autor feljetonu podpisanego literą *P.* omawia stosunki Polaków w Austrji, w Prusiech i Rosji. Na wstępie pisze:

„Polacy są nam braćmi po krwi i języku, a jednakowoż nie solidaryzują się z nami i łączą częstokroć z głównym wrogiem słowiańskiego plemienia. Więc poznajmy ich stosunki bliżej i przyczyny dla których tak czynią. Uczyniwszy to, z pewnością nie będziemy ich potępiali."

Pisząc o Galicji, autor zaznacza, że kierunek wrogi słowianofilstwu reprezentuje partja konserwatywna, gdy stronnictwo ludowe jest słowianofilskiem (!). Na Szląsku austrjackim doznają Polacy wielkiego ucisku ze strony Niemców, którego nie można porównać z uciskiem Rusinów w Galicji, gdzie istnieją ludowe szkoły ruskie i trzy gimnazja. Autor chorwacki potępia partję konserwatywną za to, że Szlązakom nic nie pomogła.

Najciekawszem atoli jest to, co panslawista chorwacki mówi o Polakach pod zaborem rosyjskim. O czynownikach rosyjskich, urzędujących w Polsce pisze, że są ludźmi najgorszymi, upadłymi moralnie, którzy wraz Hurką, Kochanowem, Klingenbergiem i Apuchtinem krwawo zapisują się w pamięci Polaków. Autor nie wierzy też w dobre chęci rządu rosyjskiego wobec włościan polskich. Rząd dał zrazu chłopom pewne przywileje, aby ich podburzyć przeciw szlachcie, gdy się atoli przekonał, że mu chłop polski nie wierzy, przywileje te odebrał. Autor zestawił wszystkie fakta, które się dostały do wiadomości publicznej o haniebnych środkach russyfikacyjnych rządu w szkołach polskich. Opisuje detalicznie i te fakta, które głupotę rosyjskich czynowników wystawiają w świetle prawdziwem.

Ponieważ to, co autor pisze, jest u nas powszechnie znanem, przeto fakta sumiennie przez niego zestawione pomijamy milczeniem, podajemy natomiast w streszczeniu uwagi końcowe, jego apel do Rosji „słowiańskiej", aby Polaków nie uciskała.

„Rosja — pisze — nie postępuje z braćmi swymi tak, jak pismo święte i wiara Chrystusowa uczy, choć Rosjanie tak wielką niby cześć i przywiązanie do swej wiary prawosławnej okazują. Żal nam wielki (*ljuto žalimo*), że silny i wielki naród rosyjski, na który Słowianie spoglądają z dumą, miłością i nadzieją (*sic!*), nie umie zdobyć się na to, aby swej braci oddać, co jej się po prawie Bożem i ludzkiem należy, że ją ciemięży i gniecie jak wróg (*ju pritiska i gnjete kao duszmanina*).

„Przyjaciele Rosji utrzymują, że Rosjanie dlatego Polaków uciskają, ponieważ ci ostatni przeciw niej się buntują i chcą ich z Polski wypędzić. Ale uniewinnieniem to nie jest; Rosja kala duszę zbrodnią, którą popełnia na Polsce.

„Bo czy to dziw, że naród, posiadający 15 miljonów dusz, świetną przeszłość, piękną literaturę, wielką naukę, uległszy przemocy, łakomstwu trzech sąsiadów, nie jest zadowolony z dzisiejszego stanu rzeczy, że przeciw temu protestuje? Protest ten jest zupełnie naturalnym. Złem i zbrodnią jest i zawsze będzie, gdy brat bratu odejmuje to, co jest najdroższem i najświętszem."

Nowy związek bałkański.

Tak gorliwie podejmowane od niejakiego czasu usiłowania, gwoli zbliżenia do siebie trzech państewek bałkańskich — Serbji, Czarnogóry i Bułgarji, — musiały wreszcie zwrócić na siebie uwagę wszystkich sfer politycznych w Europie. Co prawda, do tej pory nie ma jeszcze przyczyny, przypisywać tym usiłowaniom jakiegoś dalej sięgającego znaczenia, lub wysnuwać z nich obaw co do wpływu takowych na sytuację ogólną, wszelakoż trudno oprzeć się wrażeniu, iż bądź co bądź są tu w grze co najmniej już przygotowania na przyszłość. Wiadoma przecie rzecz, jak do niedawna jeszcze Serbja z Czarnogórą patrzyły na siebie. Pomiędzy Belgradem a Cetynią drut telegraficzny był kompletnie urwany. Ciągłe nieporozumienia i zazdrość panowały zwłaszcza po serbskiej stronie, podczas gdy w szerokich kołach politycznych dość łatwo przypisywano Czarnogórze owe pożądliwe sympatje dla pokrewnego królestwa, jakie np. głodny nędzarz odczuwa na widok dużego stosunkowo i smacznego kąska, który radby połknąć niezwłocznie...

Wszelakoż nad Newą sprzykrzył się widocznie ten niekoniecznie „pobratymczy" stosunek obu sąsiadów bałkańskich i zapewne w czasie koronacji carskiej w Moskwie otrzymali od niej wyraźną wskazówkę, aby się raz już pojednali. Owocem tego była tedy wizyta ks. Nikity w Belgradzie. Podczas niej obaj „władcy" wypowiadali sobie przy bankietach pełne gracji i polotu oratorskiego komplementa, a zwłaszcza już książę Czarnych Gór puszczał ochoczo wodze swej fantazji poetyckiej. Pomiędzy innemi ślubowano sobie uroczyście odtąd występować wspólnie w obronie „serbskości". Niezaprzeczony rozsądek polityczny dojrzałego już wiekiem ks. Nikity — co prawda — usiłował złagodzić do pewnego stopnia wysoki djapazon tego frazesu. Zwrot ostry przeciw Turcji i parę innego rodzaju enuncjacyj miały wskazywać, że nie miano na myśli wszystkich Serbów (zatem i tych, którzy są poddanymi habsburgskiej monarchji) lecz tylko mieszkańców serbskich w zachodnich okręgach bałkańskich państwa tureckiego... Gdy tedy zbratanie serbsko-czarnogórskie zostało już dokonane, przyszła kolej na wciągnięcie trzeciego do tego związku Bułgarji. Więc też postanowiono wspólną jazdę — króla Aleksandra i ks. Nikity — do Sofji, a ponieważ tam obowiązuje dziś również wszechwładnie wola carska — wola ta zaś wydała hasło: „pogódźcie się i idźcie ramię do ramienia!" — więc zdaje się być niemal rzeczą pewną, że i ta wspólna wizyta sąsiedzka skończy się „zbrataniem" dwóch z trzecim.

Byłżeby to istotnie ów osławiony związek bałkański? kopją miniaturową środkowo europejskiego trójprzymierza? Być może, nad Newą układają coś w tym guście i próbę odnośną podejmą, na jej rezultat należy jednak czekać. Trzeźwi politycy powątpiewają jednak bardzo, żali ten związek bałkański do skutku przyjdzie, względnie czy wyda jakie owoce. Faktem jest przecie niezaprzeczonym, że pomiędzy państewkami bałkańskiemi istnieją nieprzeparte kontrasty interesów, których nawet wytrwała i celu świadoma polityka Rosji do jednego mianownika sprowadzić nie zdoła. O Serbji i Bułgarji wiedzą chyba wszyscy, że pożądają jednego i tego samego: Macedonji, choćby przepołowionej. W tej mierze na Bałkanach obowiązuje to samo prawo, lub konieczność równowagi sił, co w Europie. Każde naruszenie tej równowagi wstrząsa sąsiadami do głębi, do podwalin. Gdy śp. Aleksander Battenberg zajął wschodnią Rumelję, wnet wyruszyła Serbja na bój z Bułgarją. Te same sprężyny, co wówczas, działają i dzisiaj i na długo jeszcze nie utracą swej siły. Wprawdzie w Sofji robią w tej chwili taką minę, jak gdyby chciano tam bezwarunkowo ulegać wpływom rosyjskim, i jak gdyby całe zbawienie księstwa wyłącznie od cara zależało. Lecz czy to uczucie utrzyma się i wówczas, gdy Rosja jawnie i głośno przyzna Serbji prawo do Macedonji, jak na to obecnie pono się zanosi, to więcej niżeli problematyczne. Już teraz zaczynają patrjoci bułgarscy zżymać się na owo „pojednanie" ks. Ferdynanda z Rosją i w pamięci mamy jeszcze zatarg o schizmę kościoła bułgarskiego, w którym energja Bułgarów na swojem postawiła. Teraz znów na tapecie jest sprawa conajmniej równie drażliwa dla Bułgarów, mianowicie powrót byłych oficerów bułgarskich a obecnie rosyjskich — szczególnie zaś dwu zdrajców Grujewa i Benderewa — do armji bułgarskiej. W fakcie tym bowiem upatrują patrjoci bułgarscy całkiem słusznie ewentualność opanowania armji księstwa przez Rosję, co w danym razie gotowoby pozbawić Bułgarję tak drogo okupionej samodzielności i przemienić ją w „gubernię" carską. Czy przeto ten związek bałkański pod egidą Rosji przyjdzie do skutku, jeżeli nad Newą uprą się np przy wcieleniu emigrantów oficerów do armji, to więcej jak wątpliwe.

Bankiet umarłych.

Niedawno zmarły Juljusz Simon opowiadał z przyjemnością następującą historyjkę z swego życia:

W początkach cesarstwa przyszła nam do głowy myśl, zbierać się co miesiąca na bankiecik, aby mówić o „najbliższym dniu" — po francusku: *lendemain* t. j. dzień po upadku panującego rządu. — Tego „nazajutrz" nie podawaliśmy nigdy w wątpliwość, a nie przypuszczaliśmy nigdy, iż potrwa ono lat ośmnaście. Ochrzciłem ucztę tę nazwą „bankiet umarłych" t. j. umarłych politycznie. Armand, Marrast, Cavaignac i Sénard prezydowali kolejno.

Bankiety te o tak smutnem nazwisku, miały zresztą bardzo wesoły początek.

Na ulicy *des Petits Champs* zaskoczył mnie ulewny deszcz, a ponieważ nie posiadałem parasola, przeto schroniłem się do pasażu Choiseul. Deszcz nie ustawał, to też ucieszyłem się bardzo, gdy po kwadransie natknąłem się w pasażu na Wiktora Lefranca, którego również deszcz tutaj zapędził. Od tego czasu znam go bardzo dokładnie, a nawet w tym samym gabinecie byliśmy jednocześnie ministrami. Wtedy jednak znałem go jeszcze mało, chociaż byliśmy kolegami w konstytuancie.

Zaczęliśmy rozmawiać i zdawało się że rozmowa ta tak samo mu przypadła do gustu jak i mnie, gdyż trwała przeszło godzinę.

Około godziny ósmej Lefranc, który mnie zainteresował w wysokim stopniu, powziął widocznie jakieś postanowienie i oświadczył, że musi mnie opuścić, ponieważ ma jeść obiad w blizkości ulicy Bourdonnais.

— Ale wiesz pan co — rzekł do mnie z najserdeczniejszą w świecie miną — przyjaciel, do którego idę na obiad, to stary pański znajomy: Le Blond, człowiek nadzwyczaj grzeczny i gościnny. Chodź pan ze mną bez ceremonji. Biorę wszystko na siebie. Zapraszam pana do niego na obiad, a ręczę, że nasz przyjaciel będzie zadowolony.

— Dziękuję panu — odparłem z zimną krwią — przyjmuję zaproszenie.

— Przyjmujesz pan?

Widziałem, że był cokolwiek zdumiony, a nawet przestraszony.

— Będzie bardzo zadowolony — rzekł — zapewniam pana. To doskonały towarzysz, jestem u niego jak w domu u siebie.

Pozwalałem mu mówić, co mu się żywnie podobało, gdyż widziałem dobrze, że sam sobie dodawał odwagi. Wyciągnął zegarek.

— Już czas. Odprowadź mnie pan przynajmniej do drzwi.

Towarzyszyłem mu, nie mówiąc ani słowa.

— Ale dla czegóż — zapytał, nie idziesz pan na górę? Mieszka w antresoli i ma u siebie towarzystwo, gdyż widzę, że wszystkie pokoje oświetlone. Idziesz pan?

To „idziesz pan?" wygłosił takim tonem, jakby chciał powiedzieć:

— Idź pan do djabła!

Idzie naprzód, dzwoni i nareszcie podaje mi rękę

— Zaprawdę — ciągnie dalej — spędziłem z panem bardzo przyjemnie czas. Do widzenia!

Otworzono drzwi. Lefranc zaczął zdejmować palto i wyglądał djabelnie zakłopotany, gdy zrobiłem to samo.

— Biedaczysko! — pomyślałem — nie wie z pewnością, gdzie będzie jadł obiad.

W tej chwili wszedł Le Blond do przedpokoju i rzekł:

— Chodźże pan, chodź, czekamy tylko na pana.

— Posłuchaj pan — rzekł Lefranc niespokojnie, odprowadzając go na bok — być może, że przeszkadzam panu w zabawie; popełniłem niedyskrecję, zaprosiłem Juljusza Simona, którego spotkałem w pasażu Choiseul.

— Juljusz Simon! — zawołał Le Blond. — Ten jest już zaproszony od dwóch tygodni; zaproszenie przyjął i czekaliśmy właśnie na niego, pan należysz bowiem do domowników i bylibyśmy siedli do stołu, nie czekając na pana.

Lefranc wściekły wskutek tego, nie mógł się uspokoić, że milczałem tak uporczywie. Właśnie przy tym bankiecie zaproponował zebrania miesięczne, które potem nazwałem „bankietami umarłych".

Czasy powstania.

II.

(*Z pamiętników Michała Czajkowskiego, Mechmet-Sadyka-baszy.*)

Rząd bez wątpienia nie pragnął w kraju żadnych zamieszek i rozruchów, któreby mogły doprowadzić do powstania. Rządy cara Mikołaja odznaczały się w owym czasie łagodnością; były rzec można, ojcowskiemi, a nawet potem, gdy car musiał się uciec do surowych i srogich środków, zawsze jeszcze działał bez nienawiści, nie uciekając się do sztuczek, gdyż to zupełnie nie odpowiadało charakterowi tego monarchy, który był rzec można, rycerzem sprawiedliwości i prawdy i pilnie przestrzegał wszystkich obowiązków monarchy. Raczej można przypuścić, iż rząd rosyjski nie zrozumiał prawdziwego znaczenia wypadków warszawskich, które nie byłyby miały miejsca, gdyby był zwrócił uwagę na to, jacy ludzie stali na czele powstania.

Wielki książę widocznie ochłódł dla Warszawy i dla Królestwa Polskiego raczej pod wpływem gniewu i rozdrażnienia na niewdzięczność Polaków, w szczególności tego wyborowego polskiego wojska, które było utworzone przez jego prawdziwie ojcowską troskliwość gdyż pomimo wszystkich podjudzeń i podżegań, wielki książę mógłby był pozostać w Warszawie i przywrócić porządek, gdyż iskra powstania wybuchła z szczególną siłą tylko w Warszawie, a po za nią nikt nie rwał się do walki, jak za czasów Kościuszki, i wojsko niechętnie przyłączyło się do powstańców. Większość oficerów szła z nimi tylko dla tego, że nosiła polskie nazwiska i bała się, że będzie musiała bić się mimowoli, aby nie stracić stanowiska i że większy dla niej zaszczyt i spokojniej będzie, gdy pójdzie dobrowolnie, czem zachowa dobre imię i dobre miejsce. Żołnierze szli za nimi z posłuszeństwa i z przyzwyczajenia do dyscypliny wojskowej, ale i ci i tamci działali nieśmiało, w nadziei, że stanie się coś takiego, co powróci im wielkiego księcia i dawny porządek, który mimowoli pokochali, gdyż dawał on a pewność powodzenia i zabezpieczał ich los, im przy powstaniu stawiano wszystko na kartę, wszystko było niepewne.

Wielki książę nie posiadał dosyć stanowczości, a wojsko prostoty i szczerości i z tej i z drugiej strony mało było ufności, aby sprawa mogła wziąć inny obrót. Jednakowoż w każdym pułku znalazłoby się zaledwie pięciu zapalonych powstańców.

Rząd rosyjski musiał wiedzieć o tem wszystkiem jak nie potrzeba lepiej, rzecz w tem jednak, że trudno było dać sobie radę z wielkim księciem, który mimo wszystkich swoich wybitnych zalet był drażliwy, jak nerwowa kobieta, zawsze chciał postawić na swojem. Gdy mu się to zaś nie udawało, nagle chłódł dla sprawy i już nigdy do niej nie powracał.

Dyktatura Chłopickiego była w istocie głupotą polityczną; był to niedojrzały płód polityki polskiej. Daremnie ubrano tę wronę w pawie pióra, daremnie zajął miejsce opróżnione przez wielkiego księcia. Został tym samym Chłopickim, który nie wierzył w powstanie, nie posiadał wiary w wojsko, nie wierzył w samego siebie i w sprawę polską, a ta jego niewiara mogła być dla rządu rosyjskiego najlepszą rękojmią, iż groźna chmura powstania rozkropli się w drobny deszczyk. Dlatego to prawdopodobnie nie prześladował i nie uciskał litewskich i ruskich obywateli; być może, że nie kazano ich budzić ze snu za pomocą nadmiernego nadzoru, gdyż inaczej nie można sobie objaśnić tej okoliczności, iż władze rządowe nie zwracały uwagi na nasze przygotowania.

* * *

Sadyk-basza, jak widzimy, bardzo lekceważąco wyraża się o powstaniu i fałszywie opisuje nastrój w wojsku polskiem — jakie były tego przyczyny, pisaliśmy już nieraz i to nas uwalnia na razie od dalszych komentarzy.

KRONIKA.

Pamiętajmy o fundacji imienia Tadeusza Kościuszki.

Djarjusz lwowski.

Poniedziałek 13. lipca.

O godz. 10. rano popis w zakładzie ciemnych ul. Łyczakowska l. 27.

Teatr: przedstawienia nie będzie.

Dodatek literacki do *Dziennika Polskiego* nr 28. z dnia 13. lipca zawiera: „Kartka z legendy 1794 r.", powieść wierszem przez Stefana Januarego Sulitę (pseudonim) (ciąg dalszy); „Aż na dno", powiastka obyczajowa przez Adama Krajewskiego (ciąg dalszy); „Spełnione życzenie", fraszka mitologiczna; „Na około świata", treść drugiego tomu dzieła „*Tagebuch meiner Reise um die Erde 1892—1893*" arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d'Este (ciąg dalszy); W odcinku „Podziemna Rosja" S. M. Stiepniaka (ciąg dalszy).

Kalendarz. Poniedziałek (13.): Małgorzaty p. Wschód słońca o godzinie 4. minut 19, zachód o godzinie 7. minut 49.

Srodek na oparzenie. Według Autoniego Reischla zwykła pokrzywa, roślina u nas tak powszechna, jest wypróbowanym środkiem na rany z oparzenia powstałe. Swieże liście pokrzywy kraje się w drobne kawałeczki, polewa nieco wodą i winnym octem. Gdy się na ranę przyłoży płatek płótna zamaczany w tej mieszaninie soku pokrzywy i rozcieńczonego wodą octu winnego, rana goi się prędko

---

(3)

Traktat morski

Z angielskiego

(Ciąg dalszy).

— Tak.

— Weź więc ten traktat i zamknij go u siebie. Zawiadomię o tem innych, że dzisiaj wieczorem pozostaniesz w kancelarji dłużej niż zwykle, a kiedy wszyscy wyjdą, możesz spokojnie przepisać traktat, nie obawiając się, że ci ktoś przeszkodzi. Gdy skończysz, zamknij go razem z kopją znowu do biurka i oddaj mi to osobiście jutro rano.

Wziąłem papier i...

— Przepraszam — przerwał mu Holmes — panowie byliście sami podczas tej rozmowy?

— Zupełnie sami.

— I w dużym pokoju?

— Trzydzieści stóp kwadratowych.

— W samym środku pokoju?

— Tak, prawie.

— I rozmawialiście panowie po cichu?

— Mój wuj ma i tak nie bardzo silny głos, a ja nie mówiłem prawie wcale.

— Dziękuję panu — rzekł Holmes, przymykając oczy. — Proszę, opowiadaj pan dalej

— Postąpiłem literalnie według jego polecenia i zaczekałem, dopóki wszyscy urzędnicy nie wyszli z kancelarji. Jeden z nich, który pracował razem ze mną w pokoju, Karol Goreau, pozostał dłużej, spiesząc się z dokończeniem roboty, ja zaś udałem się na obiad zostawiwszy go samego w kancelarji. Gdy powróciłem, już go nie było. Zająłem się natychmiast pracą, dlatego, że wiedziałem, że Józef, tj. mr. Harrison, którego panowie dopiero co widzieliście, znajduje się w mieście i musi o godzinie jedenastej jechać do Wacking; chciałem również, gdyby to było możliwem, zdążyć na ten sam pociąg.

Zacząłem czytać traktat i zrozumiałem natychmiast, iż wuj wcale nie przeholował w ocenieniu jego ważności. Nie wdając się w szczegóły, mogę panu powiedzieć, iż określano w nim stanowisko Wielkiej Brytanji do trójprzymierza i zaznaczano politykę, jaką kraj nasz miałby prowadzić w tym razie, gdyby flota francuska na morzu Śródziemnem zyskała przewagę nad flotą włoską. Traktat tyczył się wyłącznie spraw morskich. Na końcu znajdowały się nazwiska mężów stanu, którzy go podpisali. Przejrzałem cały papier i zacząłem go przepisywać.

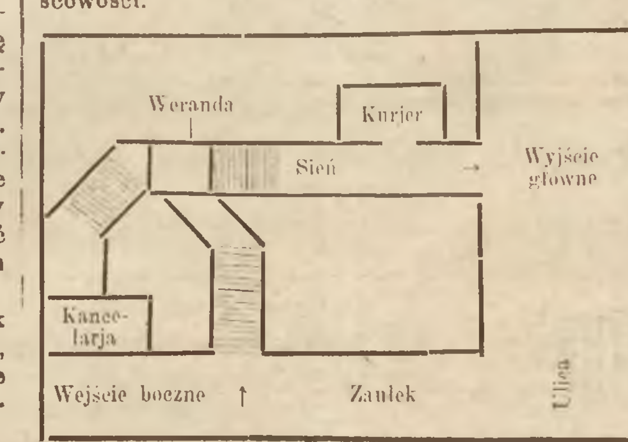
Akt był długi, napisany po francusku i składał się z dwudziestu sześciu oddzielnych artykułów. Przepisywałem jak można najprędzej, ale o godzinie dziewiątej doszedłem zaledwie do dziesiątego artykułu, to też uważałem, iż w żaden sposób nie zdążę na pociąg. Uczułem się sennym i zmęczonym, po części w skutek uciążliwej pracy przez cały dzień. Filiżanka kawy mogła mnie orzeźwić. Jeden z woźnych t. zw. kurjer, zwykle spędza całą noc w maleńkim pokoiku na dole, przy schodach i czasem gotuje kawę na maleńkiej lampce spirytusowej, gdy ktokolwiek z urzędników musi pozostawać w kancelarji dłużej niż zwykle. — Zadzwoniłem na niego.

Ku mojemu zdziwieniu, na mój dzwonek zjawiła się kobieta w białym fartuchu, stara, z twarzą o grubych rysach. Objaśniła mnie, że jest żoną kurjera i sprząta pokoje w ministerstwie. Jej też kazałem sobie podać kawę.

Potem przepisałem jeszcze dwa artykuły i czując zwiększającą się coraz więcej senność, wstałem i zacząłem chodzić po pokoju. Kawy ciągle jeszcze nie podawano i nie mogłem pojąć przyczyny tej zwłoki. Otworzywszy drzwi, wyszedłem na korytarz, aby się sam przekonać, co jest tego przyczyną.

Długi prosty i mało oświetlony korytarz, przytyka do kancelarji, w której pisałem — to jedyne z niej wyjście. Korytarz ten kończy się zgiętemi schodami, u podnóża których znajduje się komórka kurjera. W połowie tych schodów znajduje się balkon weranda, na którą wychodzi jeszcze drugi korytarz pod kątem ostrym z pierwszym korytarzem. Ten drugi korytarz prowadzi do drugich schodów na dół do bocznych drzwi gmachu, wychodzących na zaułek. Z tego wyjścia korzysta zwykle służba i niektórzy z urzędników, którzy tędy mają bliżej do domu.

Oto naprędce naszkicowany plan tej miejscowości:



— Dziękuję panu, słucham pana bardzo uważnie — rzekł Holmes.

— To bardzo ważne, proszę, zwróć pan na to uwagę. Zszedłszy po schodach w sieni, wszedłem do komórki kurjera i spostrzegłem, że twardo śpi. W rondelku kipiała woda i opryskała cały pokój. Wyciągnąłem rękę i chciałem rozbudzić tego człowieka, ciągle jeszcze śpiącego, gdy nagle dzwonek umieszczony nad jego głową silnie zadzwonił, a on się obudził.

— To pan, mr. Falps — rzekł, patrząc na mnie przerażony.

— Przyszedłem na dół, aby zobaczyć, czy kawa gotowa.

— Czekałem, aż się zagotuje woda i niespodziewanie zasnąłem.

Popatrzył na mnie, a potem na drżący ciągle jeszcze dzwonek, a twarz jego wyrażała ciągle wzrastające zdziwienie.

— Ale.. jeżeli pan tutaj byłeś, to któż w takim razie dzwonił? — zapytał.

— Kto zadzwonił? — powtórzyłem. — A dokąd prowadzi ten dzwonek?

— To dzwonek z kancelarji, w której pan pisze.

Jakby mi ktoś lodowatą ręką ścisnął serce. To znaczy, że ktoś znajdował się w pokoju, gdzie na stole leżał rozpostarty mój drogocenny traktat. Ze wszystkich sił popędziłem na górę po schodach i przez korytarz. Na korytarzu nie było nikogo, mr. Holmes. W pokoju również nie było nikogo. Wszystko znajdowało się w tym samym stanie, w jakim zostawiłem, gdy wychodziłem z pokoju, tylko papiery, powierzone mi, zniknęły ze stołu. Kopja zaczęta pozostała, ale oryginału nie było.

Holmes wyprostował się na krześle, zacierając ręce. Widziałem, że to zadanie przypadło mu do gustu.

— Cóż pan wtedy zrobił? — zapytał.

— W tej chwili zrozumiałem, iż złodziej wszedł i wyszedł prawdopodobnie bocznem wejściem po schodach. Gdyby uchodził inną drogą, byłbym się musiał z nim spotkać.

— A czy byłeś pan pewny, że nie mógł być ukryty w pokoju, gdyś się pan tam znajdował, albo też na korytarzu, który, jak pan sam powiada, był źle oświetlony?

— To zupełnie niemożliwe. I szczur nie mógłby się schować ani w pokoju, ani w korytarzu. Stanowczo nie można się tam nigdzie ukryć.

— Dziękuję panu. Proszę, opowiadaj pan dalej.

— Kurjer, spostrzegłszy po mej pobladłej twarzy, iż przestraszyłem się czegoś, udał się za mną. Teraz obydwaj rzuciliśmy się z powrotem na korytarz i na dół po krętych schodach, prowadzących na zaułek. Drzwi były zamknięte, ale nie na klucz. Otworzyliśmy je i wybiegli na ulicę. Doskonale pamiętam, iż w chwili, gdy otwieraliśmy drzwi, na sąsiedniej wieży wybiło trzy kwadranse na dziesiątą.

— To bardzo ważne — zauważył Holmes, zapisując sobie coś na mankiecie ołówkiem.

— Noc była bardzo ciemna. Kropił drobny, ciepły deszczyk. W zaułku nie było nikogo, ale przy wylocie jego, jak zwykle widać było większy ruch. Pobiegliśmy tam, jak staliśmy z odkrytemi głowami i na rogu natknęliśmy się na policjanta.

— Popełniono kradzież — zwróciłem się do niego, zaledwie mogąc oddychać. — Skradziono dokument wielkiej wartości z ministerstwa spraw zewnętrznych. Czy przechodził kto tędy?

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

† **Franciszek Dobrowolski**, naczelny redaktor *Dziennika Poznańskiego*, członek honorowy towarzystwa dziennikarzy polskich, mąż niezmiernie zasłużony około rozwoju ducha narodowego i całego życia społecznego w Księstwie Poznańskiem, zmarł onegdaj — jak nam donosi depesza — o godzinie trzy kwadranse na czwartą rano w Poznaniu, po dłuższej chorobie, spowodowanej nieszczęśliwym wypadkiem złamania nogi. — Nim będziemy mogli podać obszerniejszy życiorys zmarłego, ograniczamy się dzisiaj na zapisaniu kilku ważniejszych dat i krótkim poglądzie na jego działalność publiczną. Ś. p. Franciszek Dobrowolski urodził się w roku 1830 w Królestwie Polskiem. Skończywszy w roku 1850 uniwersytet w Petersburgu, poświęcił się karjerze sędziowskiej i jako sędzia urzędował do roku 1862 w różnych miejscowościach Królestwa. Po stłumieniu powstania z roku 1863 wyjechał za granicę i osiadł w Dreznie, gdzie wszedł w ściślejsze stosunki z J. I. Kraszewskim. Gdy w r. 1870 po śmierci Waligórskiego zawakowała posada naczelnego redaktora *Dzien. Pozn.*, ś. p. Kraszewski wskazał akcjonarjuszom tego pisma ś. p. Dobrowolskiego jako najodpowiedniejszego na kierownika. Na nowem stanowisku rozwinął zmarły ogromną nadzwyczaj ruchliwą i obfitą w doniosłe rezultaty działalność. Był duszą całego życia publicznego, które przez długie lata grupowało się około jego osoby. Nie było sprawy publicznej, żadnego ważniejszego wypadku, w którymby ś. p. Dobrowolski nie brał wybitnego udziału; wiele z tego co dzisiaj posiada Księstwo [illegible] — wyszło z jego inicjatywy. Głośne były w swoim czasie wprowadzone przez ś. p. Dobrowolskiego niedzielne zebrania w redakcji *Dziennika*, w których brały udział najwybitniejsze osobistości Księstwa, radząc nad sprawami politycznemi i poruszając kwestje bieżącej doby. Zebrania te były częstokroć dyrektywą dla akcji posłów w parlamencie niemieckim i sejmie pruskim, i wedle nich nastrajał się kierunek polityczny *Dziennika*. Głos ś. p. Dobrowolskiego ważył zawsze na tych pogadankach i po większej części przeważał, a zdanie i sąd jego cenili wysoko mężowie tej miary jak posłowie Jarochowski, Niegolewski, Szuman, Kantak, Wierzbiński, bracia Łyskowscy i inni — wszyscy dzisiaj już w grobie. Wpływ śp. Dobrowolskiego, pomimo prowadzonej przeciw niemu w ostatnich dziesięciu latach kampanji ze strony t. zw. „młodych" i żywiołów skrajnych, przetrwał do ostatnich czasów, a jak stare pokolenie tak i młodsze miało w wielkiem poszanowaniu jego sąd wytrawny i jego zapatrywania umiarkowane lecz niewzruszone na punkcie narodowości. Służyć uczciwie, bez żadnych zastrzeżeń bezinteresownie sprawie narodowej — było jego hasłem, któremu pozostał wiernym do ostatniego tchnienia. Uznano to ogólnie i dano temu wyraz w adresie obywatelstwa wielkopolskiego, odczytanym przez posła p. Stefana Cegielskiego na uroczystości jubileuszowej w d. 5. stycznia br. ku uczczeniu 25 letniej pracy dziennikarskiej i obywatelskiej śp. Dobrowolskiego.

Uroczystość jubileuszowa była najwymowniejszym dowodem tego znaczenia, jakie posiadał śp. Dobrowolski w społeczeństwie poznańskiem i tej czci, jaką otaczano jego osobę. Jubilatowi składały życzenia deputacje prawie wszystkich związków i stowarzyszeń w Wielkopolsce, a z najrozmaitszych stron nadeszły setki listów i depesz gratulacyjnych.

Do cenniejszych zasług zmarłego należy zaliczyć jego osobiste usiłowania, aby utrzymać scenę polską w Poznaniu. Pomimo mnóstwa innych zajęć miał czas sprawować od lat wielu dyrekcję teatru, a pomimo wielkich trudności, nie zraził się niemi i wytrwał na stanowisku do końca.

W mieście naszem bawił śp. Dobrowolski raz tylko, podczas wystawy krajowej, na którą przywiózł liczny zastęp młodzieży szkolnej Wielkopolski i Prus Zachodnich i z tego to czasu wielu pamięta [illegible] krzepką, [illegible] lecz ruchliwą i pełną energji postać, która z taką miłością zajmowała się powierzoną jej dziatwą. Śp Dobrowolskiego przyjmowano tutaj wszędzie z nadzwyczajnym szacunkiem i z należnymi jego zasługom honorami. Wydział Towarzystwa dziennikarzy polskich, które mianowało na ostatniem zebraniu śp. Dobrowolskiego swym członkiem honorowym, deleguje na pogrzeb do Poznania, p. Kazimierza Zielonkę, który otrzymał polecenie złożyć na trumnie zmarłego wieniec od towarzystwa.

Oryginalny wypadek. Odnośnie do notatki umieszczonej pod podwyższym tytułem we onegdajszym numerze, proszą nas o zanotowanie, iż dziecko owe, które wpadło do wentylatora w domu przy ulicy Furmańskiej pod l. 5, wyciągnął czeladnik kominiarski, August Piro, przy pomocy kaprala miejskiej straży ogniowej Salinga.

Przejechanie. Michał Pełech, włościanin z Łęczek przejechał na ulicy Brajerowskiej chłopca niewiadomego nazwiska. Stacja ratunkowa opatrzywszy go, odstawiła do szpitala.

Zginął 7. letni chłopak Władysław, syn Dmytra Strylec, zamieszkałego przy ul. Alembeków l. 16.

Straszny wypadek zdarzył się przed kilku dniami w Hatwan na Węgrzech, którego ofiarą padła rzadkiej piękności szesnastoletnia panienka, córka właściciela dóbr, Jana Majzik, przybyła w odwiedziny do swej zamężnej siostry, Kowacsowej. Majzikówna pomagała siostrze w czyszczeniu mebli, tj. drzewnej oprawy za pomocą nafty i była tak nieostrożną, że zaświeciła równocześnie świecę. Przeciąg, jaki powstał w tej chwili, zapalił drzewo i Majzikówna stanęła w płomieniach. Wskutek strasznych oparzeń zginęła nieszczęśliwa w pół godziny po wypadku, a siostra, która ją ratowała, odniosła tak ciężkie oparzenia, że walczy pomiędzy życiem a śmiercią.

Kopalnie brylantów w Kimberley nie zajmują dużej przestrzeni. Formacja jest wulkanicznego pochodzenia. Jest to głęboka bruzda, po której bokach znajduje się „grunt niebieski", zawierający brylanty. Niektóre szachty mają do 1000 stóp głębokości. „Grunt niebieski" jest zazwyczaj twardy, jak skała, lecz pod działaniem powietrza rozsypuje się, a wtedy płucze się ziemię, następnie przesiewa ją na sitach; brylanty pozostają na sicie; potem są ważone i układane wedle wielkości, wreszcie pakowane w woreczki ze skóry i pod silną eskortą wysyłane do stacji pocztowej, skąd idą do Anglji. W Kimberley znajduje się osobny urząd pocztowy dla wyprawiania brylantów, które w powozie zabezpieczonym przeciw ogniowi i złodziejom, pod pewną strażą, wyrusza wprost do przystani. Kopalnie oświetlone są elektrycznością. Pracuje w nich ośmset białych, dwa tysiące krajowców i siedmset przestępców. Biali otrzymują po siedm funtów szterlingów tygodniowo wynagrodzenia, prawdziwi górnicy do ośm funtów szterlingów, ci, którzy segregują brylanty po cztery do pięć funtów szterlingów. Wynagrodzenie to nie jest wysokiem, gdy się weźmie pod uwagę ogromne koszta utrzymania w tamtych stronach. Krajowcy dostają po cztery do pięć szylingów (równa się 2 zł. do 2 zł. 50 ct.) tygodniowo i pełne utrzymanie, zobowiązują się przytem kontraktem conajmniej na kwartał; pod żadnym pozorem nie mogą w ciągu tego czasu kopalni opuszczać; mieszkają w barakach, pilnie strzeżonych, lecz natomiast zaopatrzonych we wszelkie wygody. Krajowcy nie mogą kraść brylantów, w kopalniach bowiem pracują w stroju adamowym, a przedsiębrane są wszelkie środki, aby nie połykali tych drogich kamieni, co działo się dawniej. Najgorzej płatni są przestępcy. Towarzystwo kopalniane Beer wypłaca rządowi kolonji Przylądka po dwa pensy od głowy na tydzień, lecz naturalnie żywi skazańców.

Jubileusz królowej. Przed kilku dniami Londyn obchodził 59tą rocznicę wstąpienia na tron królowej Wiktorji. Z imieniem jej zrosły się chwile największego rozkwitu ekonomicznego, niesłychanego dawniej rozbudzenia w życiu umysłowem narodu, a wreszcie epoka rozwoju i utrwalenia swobód politycznych. Królowa Wiktorja, jakkolwiek panuje, ale nie rządzi, ma swoje poglądy, swe własne przekonania, a także i swe sympatje, oraz antypatje, o uwzględnienie których robiła i robi po dziś dzień starania, zgodne wszakże z systemem parlamentarnym kraju. Przez ten szacunek okazany urządzeniom krajowym zdobyła ona i dla siebie szacunek wszystkich warstw bez różnicy poglądów politycznych. To też święto królowej staje się świętem krajowem, a w dzień 20. czerwca, jak zresztą i w inne dni, nie mieliśmy żadnego procesu o obrazę majestatu.

Proces o obraz cesarski. Znany obraz cesarza niemieckiego: „Ludy Europy brońcie swoich najświętszych dóbr", był w tych dniach przedmiotem ciekawego procesu w Berlinie. Cesarz za pośrednictwem p. Lucaunsa powierzył znanej firmie berlińskiej Amsler i Ruthard reprodukowanie obrazu. Na tej podstawie wystąpiła firma ze skargą przeciw pewnemu instytutowi kaligraficznemu, który również reprodukował ten obraz. Obrońca zapytał zastępcę firmy, czy cesarz odstąpił tej ostatniej swoje prawo autorskie; tego jednak firma berlińska twierdzić nie mogła, wobec czego oddaloną została ze skargą.

W motywach wyroku podniósł trybunał, że prawo do skargi przysługuje tylko cesarzowi samemu, jako autorowi, który jednak z niego nie skorzystał.

Rezultaty monopolu. *Niediela* rozpatruje ogłoszone przed kilku dniami przeciętne ceny wódki dla gubernij, w których od lipca r. b. wprowadzono monopol wódczany. *Niediela* zaznacza, że ministerswo podwyższyło ceny dzisiejsze w gubernjach południowych o 1 rubel na wiadrze i że to równa się podwyższeniu akcyzy o $2^1/_2$ kopiejki na stopniu.

Jest to — pisze dziennik — skok, jakiego dotąd nie było przy poprzednich podwyższeniach podatku akcyzowego. Wypada z tego, że jeśli dawniej handlujący okowitą i sprzedający go po cenach niższych, miał jeszcze zyski, chociaż musiał opłacać patent, akcyzę i pozwolenie na otwarcie szynku, to skarb, niezależnie od pobieranych dawniej opłat, zyskał jeszcze nowy dochód w podwyższeniu akcyzy i zagarnął dawne dochody handlującego, oraz te, które płynęły do kas miast i ziemstw w formie opłat dodatkowych od patentów szynkarskich i innych. Słowem, jakkolwek jako główny motyw do wprowadzenia monopolu wymieniono względy moralności, to jakoś zrobiono tak, że zyskano ubocznie znaczne podwyższenie w dochodach z akcyzy. Gdyby nowa cena (16 — 20 kopijek od stopnia) była zastosowaną w całem państwie, to jest tam, gdzie monopol już istnieje, w tych guberniach, gdzie go dotąd nie ma, to wobec spożycia, utrzymującego się na wysokości 25 miljonów wiader okowity corocznie, suma ogólna dochodu z akcyzy dosięgałaby 400 – 500 miljonów rubli rocznie, czyli przeszło półtora raza więcej, niż obecnie. Zaś z tych gubernij, w których nowe ceny będą zastosowane teraz, skarb osiągnie więcej, niż obecnie o 35—70 proc.

„Wobec tego — kończy *Niediela* — że podatki są nader dotkliwe w ogóle, pożądanem byłoby, żeby chociaż w roku przyszłym obniżono ceny przeciętne okowity i zastosowano je do dawnej wysokości dochodów, jakie skarb ciągnął z akcyzy. Nie trudno podnieść dochody przez podwyższenie podatków, ale źródła, z których podatki się ciągną, są bardzo wątłe. Pamiętajmy także i o tem, że dawniejsze podwyższenia akcyzy wywoływane były koniecznością pokrycia deficytów budżetowych, aleź teraz przecie na motywy tego rodzaju powoływać się nie potrzeba".

Spór o autentyczność rękopismu Królodworskiego wchodzi w nową fazę. Świeżo młody uczony czeski dr Flajszhans, dotychczas należący do przeciwników rękopismu, wystąpił z jego obroną w *Czasopiśmie Muzeum czeskiego.* Zarzuty robione pomnikowi przez takich poważnych ludzi, jak prof Jagicz, Gebauer i inni, młody pracownik odpiera z wielką siłą przekonania i sam ze swej strony poddaje metody badania uzasadnionej krytyce. Jak dalece Czesi interesują się losem swych pomników literackich, które stanowiły ich chlubę i dumę a których autentyczność ku ich zmartwieniu wielce zachwiano, dowodzi skwapliwość, z jaką rozchwytano zeszyt *Czasopisma* z rozprawą dra Flajszhansa, jak również oddzielną z niego odbitkę.

Fałszywe pieniądze rosyjskie papierowe i złote ukazały się w obiegu wkrótce po zaprowadzeniu nowej rosyjskiej monety złotej. W Orle wykryto znaczną liczbę fałszywych pół imperjałów, które tak znakomicie były podrobione, że ich nawet kasjer banku nie mógł w pierwszej chwili odróżnić od prawdziwych. W Moskwie i Rydze skonfiskowano fałszywe 100-rublówki papierowe, których wiele wysłanych już zostało za granicę Artystycznie wykonane falsyfikaty opatrzone są literami A. i B , rozmaitemi numerami i latami 1889 i 1892.

Napad płci słabej na obóz męski. Bolesław Prus pisze w swej ostatniej kronice tygodniowej: Ludzkość ani przez jeden dzień nie zna i nie chce znać spokoju. Kiedy w Europie milczą armaty, w Afryce i Azji pękają łby przynajmniej pod uderzeniami pałek. Ledwie w roku 1871 ucichła orężna walka między dwoma najucywilizowańszymi narodami, zaraz wewnątrz nich rozpoczęły się polityczne walki między stronnictwami. Po stronnictwach zaczęły przyskakiwać do siebie z pięściami klasy społeczne, po klasach — wyznania, a po wyznaniach — płci!... Dzieci ze swymi ojcami dawno już znajdują się w rozterce, która dziś uzbraja żony przeciw mężom, a dokładnie... płeć żeńską przeciw płci męskiej! Nie ma co taić: panie wypowiedziały wojnę mężczyznom, których już tak nienawidzę, że pogardzają nawet ich — „uprzejmością!"

Od tej pory już nie będziemy... Co to jest nie będziemy?.. Od tej pory nawet — nie mamy prawa... ustępować miejsca kobietom: przy wejściu do pokoju, na ulicy, w tramwaju itd. Od tej pory nie będzie wolno nam zdejmować przed kobietą kapelusza, kłaniać się jej, wstawać z krzesła, przepraszać, gdy się ją potrąci... Kobiety bowiem (od r. 1896, miesiąc i dzień dokładnie nie są znane) zaczęły gardzić „objawami męskiej uprzejmości", przekonawszy się (co prawda bez lekkomyślnego pospiechu), że „mężczyźni tak hojni w komplementa dla kobiet, są względem nich — okrutni w walce o byt." Krótko mówiąc, najnewsze stanowisko płci pięknej wobec mężczyzn jest takie:

— Wyrzucam za okno cukier, który ofiarowałeś mi dobrowolnie, ponieważ targujesz się ze mną o chleb razowy...

Ale jutro, w miarę rozwoju cywilizacji, uprzejmość stanie się „obowiązkiem wszystkich wobec wszystkich," a wówczas życie ludzkie może będzie nieco szczęśliwsze, niż jest dzisiaj... Był czas, że ludzie jadali tylko zupę łyżką, a mięso brali palcami. Gdyby w owej epoce odrzucono łyżkę, może dziś przyjmowalibyśmy pokarmy... zębami z ziemi. Ale cywilizacja, zamiast cofnąć się, poszła naprzód i obok łyżki wprowadziła widelce, dzięki czemu nawet przy jedzeniu mięsa nie walamy sobie palców. Tak będzie i z „uprzejmością męzką dla kobiet" w naturalnym biegu rzeczy; ale nie tak byłoby, gdyby cywilizacją dyrygowały kongresy nieprzejednanych feministek.

Za pozwoleniem. Przecież można targować się o chleb, czyli zarobek, nie wyrzekając się cukru, czyli uprzejmości. To jedno. A drugie: czy kobiety mają prawo wyrzekać się i skazywać na zagładę okazywaną im uprzejmość męską?... „Uprzejmość" jest to pewien zwyczaj społeczny, który ułatwia stosunki między ludźmi i osładza im życie, jak n. p. jedzenie zupy łyżką ułatwia proces karmienia i zabezpiecza nasze palce od zmaczania się i gorąca. I „uprzejmość" więc i „jedzenie łyżką" są to dobre zwyczaje, są to „społeczne skarby," których ludzkość nie powinna się wyrzekać bez względu na damskie kongresy. Dziś „uprzejmość" obowiązuje głównie mężczyznę wobec kobiet. Gdybyśmy ją skasowali, ludzkość utraciłaby jedną z cywilizacyjnych zdobyczy i stoczyłaby się o jeden szczebel ku prastarej dzikości. Czy tego chcą kongresy feministek?...

Kąpiele odolowe nosa, bardzo orzeźwiają!

Wiadomości literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W Teatrze letnim: Dziś w poniedziałek nie będzie przedstawienia; jutro we wtorek „Pan podprefekt", komedja w 3 aktach Z Gandillot'a. Czwarty gościnny występ p. Honoraty Leszczyńskiej, artystki teatrów warszawskich; w środę „Honor", komedja w 4 aktach H. Sudermann'a. Piąty gościnny występ p. Honoraty Leszczyńskiej; we czwartek „Poskromienie złośnicy", komedja w 5 aktach Szekspira. Szósty gościnny występ p. Honoraty Leszczyńskiej.

Gospodarstwo, handel i przemysł.

Żniwa w powiecie krakowskim już się rozpoczęły. Obecnie odbywa się sprzęt żyta; plon zapowiada się dobrze.

Kraków 10. lipca Na dzisiejszym targu zbożowym na Kleparzu płacono za nową pszenicę: białą od 7·20 do 7·55, czerwoną 7·20 do 7·50 zł, żółtą 7·20 do 7·50 zł. żyto 6·10 do 6·50 zł., jęczmień browarny 5·70 do 6·— zł., na paszę 5·— do 5·30 zł, owies 5·90 do 6·25 zł. wykę —·— do —·— zł., rzepak —·— do —·— zł, koniczczerwony —·— do —·— zł., biały —·— do —·— zł. Wszystko za 100 kilogramów.

Telegramy „Dziennika Polskiego."

Londyn 12. lipca. Według urzędowej depeszy poselstwa japońskiego podczas katastrofy, która — jak wiadomo — nawiedziła Japonję dnia 15. czerwca b. r., zginęło 27.000 osób, a przeszło 25.000 osób jest rannych.

Tryjest 12. lipca. Jenerał Baratieri przybył tu wczoraj i zamieszkał u jednego ze swych przyjaciół. Miał on konferencję z ministrem wojny Ricottim, a jutro wyjeżdża na stały pobyt do Trydentu.

NADESŁANE.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję Adam Krajewski. — Papier z fabryki czerlańskiej. — Z Drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Franciszka Kattnera.